

JASMIN DARZNIK

## **IRAŃSKA CÓRKA**

Sekretne życie mojej matki

### **Prolog**

Jak wszystkie zdjęcia, które zabrałyśmy z Iranu, również to wywołano na grubym i elastycznym papierze przypominającym kawałek skóry. Miało ząbkowane krawędzie, a przez środek biegła długa biała rysa. Mogłabym bez trudu pomylić je z innymi starymi fotografiami, ale wcale nie przypominało pozostałych.

Zdjęcie przedstawiało dziewczynę – moją matkę Lili. Nie mogła mieć więcej niż czternaście lat. Jej powieki były umalowane czarną kredką, a usta pomadką tak ciemną, że wydawała się czarna. Satynowa suknia mocno opinała pierś i talię, a ślubny welon opadał na ramiona nieporadnie skierowane do przodu. Mężczyzna stojący u jej boku nie był moim ojcem, widziałam go po raz pierwszy w życiu. Nosił szarą fedorę i smoking, a prawą dłoń o zadziwiająco smukłych palcach obejmował matkę w pasie.

Wyglądała jak panna młoda. Uświadomiłam sobie ze zdziwieniem, że nieznajomy musi być jej mężem.

Prawie tak samo zaskoczyła mnie mina matki. Lili wpatrywała się w przestrzeń, a dolną wargę miała wygiętą w podkówkę, jakby chciała się rozplakać. Nigdy wcześniej nie widziałam u tej dumnej kobiety podobnie zrezygnowanego wyrazu twarzy. Oszołomiona, ścisnęłam fotografię między palcem wskazującym a kciukiem i nie mogłam oderwać od niej wzroku.

Siedziałam w domu matki, do którego nie spodziewałam się już nigdy wrócić. Było późne popołudnie, pięć tygodni po pogrzebie ojca. Pomagałam porządkować jego rzeczy. Zdjęcie wypadło ze sterty listów zapisanych perskim alfabetem, którego już nie umiałam odczytać. Ukryte, zapomniane, a teraz odnalezione.

Irańczycy pewnie wzruszyliby ramionami na takie znalezisko, wzniesli oczy do niebios i podsumowali jego sens jako *ghesmat*, przeznaczenie. To słowo słyszałam często po śmierci ojca. *Ghesmat*, jak twierdziła matka, sprowadziło mnie z powrotem do Kalifornii. Nie widziałyśmy się od prawie roku, kiedy zadzwoniła, aby mnie powiadomić, że ojciec trafił do szpitala i muszę wrócić do domu... natychmiast. Opuściłam mieszkanie na Wschodnim Wybrzeżu, nawet się nie spakowawszy. Ojciec umarł, zanim mój samolot wylądował w San Francisco. Wróciłam do domu rodzinnego wciąż nieprzygotowana na ły.

Przeżywałyśmy żałobę osobno, moja matka i ja. Przyjaciółki Lili płakały z nią i każdego dnia wspierały ją w modlitwach. Ja trzymałam się na uboczu. Nie uroniłam nawet łzy. Później, trzy dni po uroczystościach, zawiozłam matkę na lotnisko. Razem patrzyłyśmy, jak ciało ojca złożone w spowitej czarnymi wstęgami trumnie jest wnoszone na pokład samolotu, który miał zanieść je przez ocean do Niemiec; domu, jaki porzucił w latach

sześćdziesiątych, kiedy przeniósł się do Iranu, żeby poślubić moją matkę. Tamtego ranka grudniowe niebo było zadziwiająco błękitne i prawie bezchmurne.

- *Ghesmat* - wyszeptła, kiedy samolot zniknął nam z oczu i dopiero wtedy się rozpłakałam.

Kiedyś byłyśmy dla siebie całym światem, Lili i ja, złączone niezwykłą więzią. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogę istnieć w oderwaniu od matki. Jednak gdy przyjechaliśmy do Ameryki, zmieniłam się w amerykańską dziewczynę. Wtedy właśnie zaczęła mi opowiadać o Dobrej Córce. Dobra Córka mieszkała w Iranie. Nie odgryzała się - czego ja się nauczyłam w tym *charob szode*, zepsutym miejscu. Właściwie w ogóle niewiele mówiła. Dobra Córka słuchała. Wiedziała - zawsze - co to skromność i dobre maniery. Nie chodziła się bawić na ulicy. Dobra Córka siedziała u boku swojej matki i zważała na jej pouczenia. Kiedy spojrział na nią mężczyzna, natychmiast spuszczała wzrok. I była bardzo, bardzo ładna: miała uroczą twarz oraz długie falujące włosy jak kobiety na perskich miniaturach.

Przez te wszystkie lata Dobra Córka stała się szyderstwem, ostrzeżeniem, omenem. Kiedy odzywałam się nieskromnie, nosiłam zbyt krótkie spódniczki albo pozwalałam, by chłopcy ze mną flirtowali, nie byłam prawdziwą córką swojej matki, jej Dobrą Córką.

- Jeśli staniesz się taka jak te dziewczęta tutaj - mawiała - wróć do Iranu i zamieszkał z Dobrą Córką.

Wówczas wydawało mi się, że matka zmyśla opowieści o Dobrej Córce tylko po to, by mnie przestraszyć i skłonić do zmiany zachowania. Ale ja wcale nie zamierzałam upodobnić się do tej wyimaginowanej postaci z jej irańskiego świata. Im mniej ją przypominałam, tym bardziej mi to odpowiadało. Zanim znalazłam zdjęcie młodziutkiej panny młodej, wyprowadziłam się z domu, jak to mają w zwyczaju młodzi w Stanach, a czego nie zrobiłaby żadna porządna irańska córka.

A jednak przez czterdzieści dni po śmierci ojca<sup>1</sup> mieszkałam w domu rodziców, uśmiechałam się i potakiwałam jak Dobra Córka z opowieści, kiedy przyjaciółki matki przychodziły popołudniami w swoich zdobionych koronkach chustach i ze starannie umalowanymi oczami.

- Co ona teraz zrobi? - szeptały do siebie, a ja przez czterdzieści dni podawałam im herbatę i w milczeniu patrzyłam, jak przyglądają się Lili.

W dniu, kiedy znalazłam zdjęcie, dom był już pusty, rytuały pogrzebowe zakończono, a goście wyjechali. Tace pełne daktyli, ciasteczek i owoców uprzątnięto, a na podłodze w każdym pomieszczeniu stały sterty tekturowych pudeł. Pracowałam całe popołudnie, pakując ubrania matki, rachunki, listy i oprawione w skórę albumy ze zdjęciami. W sypialni dla gości znalazłam należące do ojca tomy Rilkego, Kanta i Chajjama, oraz szal modlitewny, różaniec i Koran z pozłocanymi kartkami babki, Kobry. W swoim dawnym pokoju trafiłam na laleczki, które babcia uszyła dla mnie przed laty w Iranie, i perską książeczkę z obrazkami pomazaną moimi dziecinnymi bazgrołami.

---

<sup>1</sup> W Iranie uroczystości żałobne trwają czterdzieści dni.

Zostałam z matką sama w domu, na którego utrzymanie nie mogła już sobie pozwolić. Kiedy zdjęcie wysunęło się ze sterty listów, spała na górze z otwartą buteleczką *valium* przy łóżku.

Wzięłam fotografię do salonu i przez długi czas siedziałam ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, patrząc na duże czarno-białe zdjęcie ślubne moich rodziców. Teheran, rok 1962. Ona, czarnowłosa z oczami Kleopatry, on nieco onieśmielony blondyn. Wyglądali niczym Elizabeth Taylor i Richard Burton. Dorastałam, oglądając ten portret i słuchając historii o ślubie, którymi z upodobaniem raczyła nas matka. Zawsze wspominała o tym, że w dniu, gdy poślubiła swojego *domod-e farangi*, europejskiego narzeczonego, wszyscy na nią patrzyli.

Wieszała to zdjęcie w każdym z naszych amerykańskich domów: w szeregowcu w Terra Linda, pięciopokojowym domu wśród wzgórz Tiburon, willi nad Zatoką Richardson. Miało stanowić dowód na to, kim była i z jakiego pochodziła kraju. Gdyby wówczas ktoś poprosił, bym opowiedziała mu o Iranie, wskazałabym zdjęcie moich rodziców, jakby każda historia zaczynała się w chwili ich ślubu.

Teraz odnalazłam fotografię, która przetrwała rewolucję, wojnę, wygnanie i coś jeszcze – pragnienie matki, by zapomnieć o przeszłości. Choć nie znałam jeszcze historii, która stała za zdjęciem, włożyłam je między kartki książki i zabrałam pięć tysięcy kilometrów od domu.

Sześć miesięcy później wróciłam do Kalifornii i siedziałam w nowym mieszkaniu, które matka wydzieliła z willi w stylu hiszpańskim. Reszta budynku została wynajęta, a Lili zajęła dwa nieduże pokoje zagracone przedmiotami, które zachowała po śmierci ojca. Przestała przyjmować gości. Twierdziła, że jest zbyt ciasno, żeby porządnie podać herbatę, więc po co w ogóle kogoś zapraszać?

Do tego czasu patrzyłam na zdjęcie tak często, że mogłabym je narysować z pamięci ze wszystkimi szczegółami. „Kim był ten mężczyzna u boku matki – zastanawiałam się raz za razem. – Co się z nim stało? I dlaczego matka nigdy mi nie powiedziała o tamtym małżeństwie?”.

Przez długi czas żałoba, którą nosiliśmy po śmierci ojca, uniemożliwiała zadanie tych pytań. Minęło sześć miesięcy i wciąż nie wiedziałam, jak zacząć rozmowę. Ale fotografia stała się moją obsesją. Musiałam poznać prawdę, niezależnie od tego, jak bolesna mogłaby się okazać.

Pewnego dnia odchrząknęłam i zwróciłam się do matki, wyciągając w jej stronę zdjęcie:

– *Momon...*

Spojrzała na nie, a później wpatrzyła się w moją twarz, próbując odgadnąć, ile wiem oraz czy zdoła powstrzymać mnie przed odkryciem prawdy. Potrząsnęła głową i nadal piła herbatę.

– Nie – mruknęła w końcu, odwracając wzrok. – To nie ma nic wspólnego z tobą.

Odstawiła filiżankę, wyrwała mi zdjęcie i wyszła z pokoju.

Nie wspominałam już więcej o fotografii. Przez kolejne dni panowała niezręczna atmosfera, trzymałyśmy się z dala od siebie, dlatego cieszyłam się z powrotu na Wschodnie Wybrzeże. Nie rozmawialiśmy potem przez kilka tygodni, ale wkrótce po

rozpoczęciu kolejnego semestru zadzwoniła i oskarżyła mnie o myszkowanie w jej rzeczach. Stwierdziła, że ukradłam tamto zdjęcie oraz że nic więcej nie ma do powiedzenia.

A później zaczęła mi przysyłać kasety. Pierwsza dotarła do mnie wiosną, kilka tygodni po Nouruz, perskim Nowym Roku<sup>2</sup>. W sumie było ich dziesięć.

Matka siadała samotnie przy magnetofonie w kalifornijskim domu i nagrywała dla mnie historię swojego życia. Kasety opisywała po persku, dlatego kiedy wyjęłam z koperty pierwszą z nich, umiałam odczytać niewiele więcej niż swoje imię. Gdy opuszkami palców muskałam słowa wykaligrafowane przez matkę, uświadomiłam sobie, że nie mam jak odtworzyć tych nagrań. Następnego ranka pojechałam do miasta, żeby kupić magnetofon. Opowieść matki zaczęła żyć własnym życiem.

---

<sup>2</sup> Nouruz to perski Nowy Rok, obchodzony w dniu przesilenia wiosennego.